

Młodość spędziłam na Syberii...

MOJA DROGA DO PRAWDY

W numerze „Na Straży” z 2001 roku przeczytałam relację br. Stanisława Kuca z jego wizyty na Syberii. Dowiedziałam się, że wiosną 2001 roku razem z br. Andrzejem Łajbidą dotarł do braci w Tułunie. To bardzo ciekawa podróż, szczególnie, że opisywane tam miejscowości i nazwiska braci są mi znane jeszcze z młodości. Na zdjęciach poznawałam osoby, z którymi kiedyś przebywałam. Swoją młodość bowiem spędziłam na Syberii.

Urodziłam się w 1930 roku w Zamchu. W tym okresie do naszego Zboru uczęszczało ponad 10 rodzin z Babic, Obszy i Zamchu. Razem z dziećmi i młodzieżą Zbór liczył około 40 osób.

Przed wojną chodziłam do szkoły ukraińskiej, bo polskiej w naszej wiosce niestety nie było. Pewnego razu na lekcji religii ksiądz dawał dzieciom metalowy krzyż do całowania. Siedziałam w ławce z Hanią Zińską i wspólnie stwierdziłyśmy, że nie będziemy całowały tego krzyża. Ukraiński ksiądz pogłaskał nas po głowie i pochwalił za odwagę. Następnego dnia na polecenie księdza nauczyciel ukarał Hanię, która całą godzinę klęczała na ziarnie. Podczas wojny również przechodziłyśmy różne doświadczenia. Na liście osób poszukiwanych przez Niemców było 18 mężczyzn z naszej wioski, a wśród nich br. Mikołaj Pietrus i br. Roman Kopak. Podczas łapanki br. Kopaka nie było w domu, a br. Pietrus wraz z 8 innymi mężczyznami został zatrzymany i wkrótce wszyscy zginęli.

W 1946 roku w ramach akcji „Wisła” rodzina nasza została wysiedlona do Tarnopola. Ja miałam wówczas 16 lat, a mój brat Michał pół roku. Całą podróż odbyliśmy pociągiem towarowym. Przesiedlane rodziny jechały z całym dobytkiem. My wzięliśmy ze sobą konia. W Tarnopolu znaleźliśmy się wspólnie z dwoma rodzinami braterstwa: Filów i Maczugów z Zapałowa. Brat Moskwa, który pochodził z Tarnopola, poznał Prawdę dzięki naszym spotkaniom. Zgromadzaliśmy się po kryjomu, głównie śpiewaliśmy pieśni, czytaliśmy Pismo Święte, były modlitwy i badania. Przez pierwsze dwa lata pobytu w Tarnopolu uprawialiśmy własne pole. Później nasza ziemia przeszła na własność kołchozu, a my z całą rodziną zamieszkaliśmy u obcych ludzi w sąsiedniej wiosce. W jednym domu mieszkało nas sześć rodzin. Nikt z nas nie miał dowodu osobistego, dlatego nie mogliśmy podjąć żadnej pracy. Pomocną rękę podał nam pewien urzędnik z Tarnopola, który w zamian za moją pomoc przy wychowywaniu jego 2-letniego dziecka obiecał nam wyrobienie dowodów. Po zimie mój Ta-

to i ja otrzymaliśmy dowody tożsamości i mogliśmy podjąć legalną pracę w Tarnopolu. Ja pracowałam na poczcie, a tato przy budowie dworca kolejowego. Wspomniany wcześniej urzędnik stracił pomoc domową i za karę postanowił wysłać całą naszą rodzinę na Syberię. O tym fakcie dowiedzieliśmy się później, już podczas pobytu w Tułunie.

W Tarnopolu przyłączono nas do grupy „innowierców” i w 1951 roku wysłano na Syberię. Znowu podróżowaliśmy w wagonach towarowych, ale tym razem bez jakiegokolwiek dobytku. W wagonie było nas 57 osób. Dwa razy dziennie żołnierze sprawdzali obecność. Podczas postoju na stacji rozdzielano zupeł. Po trzech tygodniach podróży dotarliśmy do Tułuny. Na dworcu czekało na nas kilkadziesiąt samochodów, które poprzez zamrzniętą rzekę [był maj] zawiozły nas do baraków usytuowanych w środku lasu. Zakwaterowano nas wspólnie ze świadkami, baptystami i zielonoświątkowcami. Mieszkaliśmy w barakach, które wybudowały przywiezione tutaj przed nami grupy wyznaniowe z Litwy. Na powierzchni 20 m kwadratowych mieszkały 4 rodziny. Kto się skarżył na złe warunki, natychmiast był wywożony kilkadziesiąt kilometrów dalej, gdzie warunki były jeszcze gorsze. Pracowaliśmy przy budowie fabryki wytwarzającej spirytus drzewny. Praca była ciężka i polegała głównie na wycinaniu drzew. Zimą pracowaliśmy codziennie przy temperaturze 35 stopni poniżej zera. Pracę przerywaliśmy, gdy temperatura dochodziła do minus 57o C. Latem temperatura sięgała plus 40o C, a ukąszenia muszek powodowały opuchliznę całego ciała. Pamiętam, że Tato bardzo często wyjeżdżał do pracy w głąb lasu na cały tydzień. Pożywienie mieliśmy skromne, głównie chleb powodujący zgagę, słoninę i cebulę. Ja z bratem odczuwałam brak cukru.

Mieszkaliśmy w gronie 300 Świadków. Po pracy nawiązywaliśmy kontakty z naszymi sąsiadami. Coraz częściej dochodziło do rozmów, a później długich dyskusji na tematy religijne. My nie mieliśmy żadnej literatury, bo w Tarnopolu zniszczyli ją nam żołnierze. Za zarobione pieniądze Tato kupił Biblię od baptystów. Po tym fakcie dyskusje „nabrały rumieńców”. Zaczęliśmy chodzić na zebrania do baptystów, bo tylko oni, jako legalna grupa religijna, mogli organizować nabożeństwa. Nie pamiętam tematów tamtych spotkań. Pamiętam tylko, że mojemu tacie pozwolono wygłaszać kilkunastominutowe przemówienia. Podczas takiego wykładu Tato potrafił przekazać myśli, które bardzo często różniły się od poglądów wyznawanych przez baptystów. Część słuchaczy uznała je za prawdziwą naukę biblijną i w ten sposób w Tułunie pojawiła się kolejna grupa wyznaniowa. Początkowo było nas 9 osób. Zgromadzaliśmy

się nielegalnie. Największym problemem był brak literatury. Przez cały czas pobytu na Syberii pisaliśmy listy do rodziny mieszkającej w Polsce. Chcieliśmy dać znać, że przebywamy na zesłaniu. Martwił nas brak odpowiedzi z Polski. Później okazało się, że nasze listy nie docierały do Polski, bo były zatrzymywane w miejscowym urzędzie na Syberii. Dopiero list wrzucony do skrzynki umieszczonej na wagonie kolejowym dotarł do rodziny mieszkającej w Lipiu. Po jakimś czasie mój wujek Roman Kopak dzięki uprzejmości żony pewnego wojskowego, który u Dymitra Kopaka robił sobie zdjęcia, przesłał do nas paczkę zawierającą znaczną część literatury. To nam bardzo wiele pomogło. Początkowo w gronie kilku, później kilkunastu osób corocznie obchodziliśmy pamiątkę śmierci naszego Pana. O terminie obchodzenia wieczery listownie informował nas wujek Kopak. Między mieszkańcami baraków co jakiś czas pojawiali się jacyś nieznani ludzie. Później okazało się, że ich zadaniem było informować władze obozowe o nastrojach panujących wśród zesłanych. W wyniku takiego działania grupa kilkunastu mężczyzn została wywieziona z Tułuny do bliżej nieznanego nam miejsca.

W 1955 roku otrzymaliśmy wiadomość od wujka Kopaka, że w Polsce wyszło zarządzenie zezwalające na powrót do kraju rodzin, które mieszkały w Polsce do 1939 roku. Wujek Kopak przesłał do ambasady w Moskwie dokumenty, na podstawie których mogliśmy starać się o powrót do Polski. Po około roku czasu z Irkucka oddalonego 400 km od Tułuny otrzymaliśmy zezwolenie na powrót do ojczyzny.

W 1956 roku w Tułunie w rzece Ija w wieku 26 lat przyjmowałam chrzest. Było nas w sumie 10 osób. Do chrztu przystępowałyśmy we trzy, jedna siostra z Niemiec, jedna z Finlandii i ja. Cała uroczystość, w której służył mój Tata, zorganizowana była po kryjomu.

Po ponad 5 letnim pobycie na Syberii, we wrześniu 1956 roku jako repatrianci wyruszyliśmy w drogę do Polski. Z Tułunu jechaliśmy do Moskwy pociągiem osobowym przez 5 dni, następnie z Moskwy do Brześcia 2 doby. W Brześciu na dworcu był nocleg. Rano po przejściu przez kontrolę celną wsiedliśmy do przygotowanego wcześniej pociągu i ruszyliśmy w podróż do Białej Podlaskiej. Tam czekały na nas samochody, które zawiozły cały transport do przygotowanego wcześniej miejsca. W budynku pałacowym była stołówka i przygotowane noclegi. Po 5 letnim okresie mieszkania w syberyjskich barakach wreszcie poculiśmy, że można żyć inaczej. Zakwaterowanie i wyżywienie było bezpłatne. W Białej Podlaskiej byliśmy dwie doby, tam dostaliśmy zapomogę pieniężną w wysokości 1000 złotych na osobę. Ja byłam z bratem i rodzicami, dlatego dostaliśmy 4 000 złotych. Następnie każda rodzina otrzymała bezpłatne bilety na podróż do rodziny. My jechaliśmy do Lipia. Przez Poznań, Stargard i Świdnin dotarliśmy do Rąbina. Była godzina 13. Tato z bratem poszli około 5 km

szukać Lipia, a ja z Mamą zostałam na dworcu w Rąbinie. Zmęczona podróżą usnęłam na bagażach. Około godz. 15 zobaczyłam przechodzącą obok nas pielęgniarkę w białym fartuchu. Po jakimś czasie pielęgniarka wróciła jeszcze raz. Okazało się, że była to Hania Zińska, z którą kiedyś siedziałam w jednej ławce. Teraz Hania jako pielęgniarka pracowała w Rąbinie. Jaka wielka radość spotkać znajomych po tylu latach rozłąki! Na powitanie połały się łzy. Hania natychmiast pobiegła do Nastki Matyskowej, która pracowała w sklepie. Razem wzięły nasze bagaże.

Tymczasem Tato razem z moim bratem Michałem dotarli do Lipia, ale minęli zabudowania Kopaków i poszli dalej. W polu zauważyli jadącego wozem człowieka. Tato rozpoznał Michała Kozaka (teść brata Dymitra Kopaka). Michał zaprowadził ich do mojego wujka Romana Kopaka, który zaprzągnął konia do wozu i przyjechał po nas do Rąbina. Przez miesiąc czasu mieszkaliśmy w Lipiu u Kopaków, a następnie na zimę przeprowadziliśmy się do pustego mieszkania u Kozaków. Wiosną, kiedy sąsiad br. Kopaków wyjechał z Lipia, Tato dał mu 500 złotych i my przeprowadziliśmy się do jego zabudowań. Zaczęliśmy pracować na polu. Tato jednak cały czas myślał o rodzinnym Zamchu.

Jesienią po skończonych wykopkach razem z moim Tatą Stefanem udaliśmy się pociągiem w podróż do Zwierzyńca. Moja Mama Nadzieja i brat Michał zostali w Lipiu. Ze Zwierzyńca wąskotorówką pojechaliśmy do br. Andrzeja Fila w Biłgoraju. Następnego dnia br. Fil pokazał nam samochody, które woziły węgiel do Obszy. Z Obszy piechotą dotarliśmy do Zamchu, gdzie mieszkała siostra Wiera Bojeś. W zasadzie była to jedyna osoba ze Zboru w Zamchu, którą pamiętałam z czasów mojej młodości, bo jak się później okazało, część osób zaraz po wojnie wywieziono do Rosji, a pozostali wyjechali na Zachód. Przez jakiś czas zostałam w Zamchu. Siostra Wiera była krawcową, a ja uczyłam się od niej zawodu.

W 1959 roku wyszłam za mąż i zamieszkałam w Biszczy, odległej o kilkadziesiąt kilometrów od mojego rodzinnego Zamchu. Rodzice natomiast do końca swojego życia mieszkali w Lipiu. Mama zmarła w 1975 roku, a dwa lata później Tato. Ja cały czas mieszkam w Biszczy. Czasami jeżdżę na konwencję do Białogardu, gdzie mieszka mój brat Michał Wozniwoda z rodziną. Wspólnie z mężem wychowaliśmy czworo dzieci, mamy dwoje wnucząt. Mimo upływającego czasu przeżycia z młodych lat ciągle są żywe. Nie da się bowiem zapomnieć błogosławieństw, którymi Pan Bóg hojnie mnie obdarował. Dzisiaj widzę, że Pan Bóg zawsze prostował moje kręte ścieżki.

*„Ale ty, Panie, jesteś tarczą moją, chwałą moją.
Ty podnosisz głowę moją” – Psalm 3:4.*



Biszczka, styczeń 2004 r.
s. Paraskiewia Komanowska

Paraskiewa Komanowska
R-
„Straż”